

Nr. 12. — Rok XXVII.

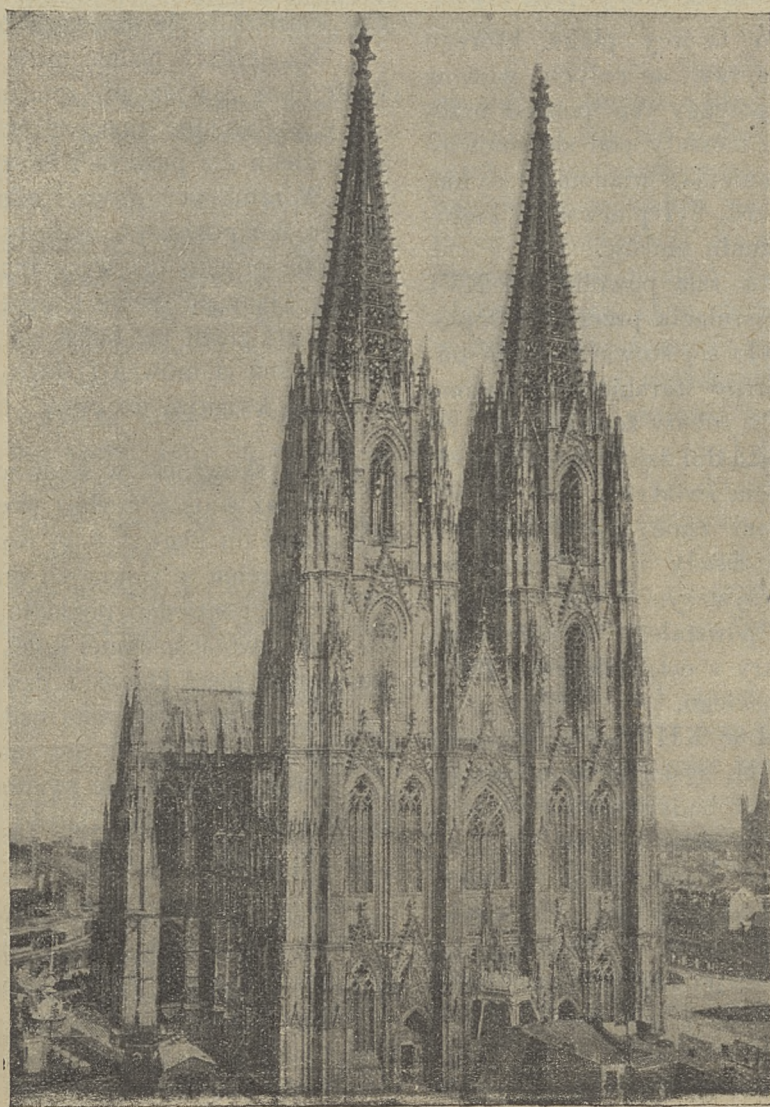
Dnia 24. Marca 1906 r.

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży  
Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.

*Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na kwartał II — dla uniknięcia  
zwłoki w przesyłce pisma.*

ARCYDZIEŁA ARCHITEKTURY.



I. Katedra Kolońska.

## Arcydzieła architektury.

### I. Katedra Kolońska.

Rozpoczęta jeszcze w XIII-ym wieku na miejscu kościoła, ufundowanego przez Karola Wielkiego, budowa katedry kolońskiej dopiero na początku XX-go wieku, do kresu wykonczenia została doprowadzona.

Praca więc około jej wznoszenia trwała przeszło siedem wieków, najdłużej ze wszystkich budowli, dokonanych w Europie.

Ale bo też świątynia ta jest, rzec można śmiało, obok kościoła św. Piotra w Rzymie, najwspanialszem dziełem sztuki architektonicznej, jako wielka, systematycznie przeprowadzona całość, w której wszystko od największego do najdrobniejszego szczegółu jednym ożywiona jest duchem i przedstawia niejako obraz podniesienia się myśli człowieka z prochu ziemi ku świątliwościom nieba.

Szczyt najwyższej wieży osiąga 159 metrów wysokości.

Imię genialnego twórcy planu, którego wielkość tem się mierzy, że całych wieków potrzeba było, aby potężny ten pomysł urzeczywistnić — zaginęło niestety pod siedmiowiekową warstwą zapomnienia, wiadomo jedynie, że budowniczy Gerhard był pierwszym kierownikiem przy wznoszeniu murów.

Olbryzmia robota szła powoli. Od XVI wieku uległa na trzy stulecia przerwie. Dopiero w r. 1841 utworzyło się stowarzyszenie budowy katedry, za którego staraniem ukończono w r. 1885-ym wszelkie roboty zewnętrzne, a od tego czasu do ostatnich dni zajmowano się wewnętrznem ozdobieniem świątyni.

Rycina daje nam choć słabe pojęcie o wielkości i piękności fasady i całej budowy, utrzymywanej w najczystszyim stylu starogermańskiego gotyku, powstałego z połączenia rzymskiej architektury z ostrołukowemi liniami budownictwa arabskiego.

Styl ten powstał w XII wieku, rozwinął się zaś w połowie XIII, zyskując stopniowo na harmonii piękna. Ściany budynku stają się ażurowe wskutek wielkich okien i rozet z różnokolorowemi szybami i malowidłami. Ciężkie mury znikają, wieże lekkością swą przeświecają, wszystko smukleje, strzela w górę, staje się lekkim, zda się, na skinienie geniuszu ludzkiego kamienie i marmury, gdy trzeba, w leciuchne zamieniają się koronki.

A wszystkie te cechy charakterystyczne stylu gotyckiego widnieją w precudnej katedrze Kolońskiej, która wznosi się wspaniale nad

Renem, w tej najpiękniejszej prowincyi Niemiec, gdzie najdłużej nie przenikał ciasny duch wyłączności narodowej i gnębienia innych narodowości, który tak się rozwiłmożnił w państwie pruskim.

## SZEPT WIOSNY.

Wzywałś skowronków otwartą powieką,  
W błękitów dal biegłeś bez końca —  
Ja — Wiosna ci mówię: Daleko, daleko  
Do kwiatów, do ciepła, do słońca!...  
Oszukał cię świągot cieszących się ptaków,  
Nadrzeczne złudziły opary —  
Oczyma pogałeś za lotem śpiewaków  
I wiosny dostrzegłeś w nich czary.  
I było ci dobrze i było ci lekko,  
Nadzieją westchnęła pierś skrzepła...  
Ja — Wiosna ci mówię: Daleko, daleko  
Do kwiatów, do słońca, do ciepła!

Czy widzisz?... Na drzewach ośiada szron biały,  
Na szybach maluje mróz palmy;  
Wiatr nocą zawodzi nie zbudzeń hejnały,  
Lecz smutne, posępne gra psalmy.  
Mróz ziemi nie puszcza z żelaznych swych oków,  
W ramiona porywa i ciśnie...  
Nie prędko posłyszysz szelesty potoków,  
Nie prędko łuk tęczy zabłyśnie!  
Chmur kłęby po niebie leniwie się wleką,  
Pierś ziemi nie budzi się śpiąca...  
Ja — Wiosna ci mówię: Daleko, daleko  
Do kwiatów, do ciepła, do słońca!

A jednak skowronki w śpiewaczej swej pracy  
Wciąż wiosny czekają przybycia...  
Nie rzucaj im klątwy! — to Boży śpiewacy,  
Potrzebni w zimowych dniach życia.  
O! bez nich niejedno poblądłoby czoło  
W żywota splątanej kolei,  
Skowronek pierś krzepi, a dzwoni wesoło,  
A dzwoni wciąż nutą nadziei.  
Lecz zanim pochmurne dni zimy przecieka,  
Strop nieba drgnie światłem bławatów:  
Ja — Wiosna ci mówię: Daleko, daleko  
Do ciepła, do słońca, do kwiatów!

Ach! z oczów ci zdzieram przepaskę różową,  
Lecz twojem być echem nie mogę —  
Okrutnie z ust strącam spragnione wróżb słowo,  
Róż żadnych nie rzucam na drogę,  
Wiatr wieje, północny wiatr wieje i chłodzi  
Krew w żyłach, gorączkę snów studzi,  
W zamkniętych drzwiach domu szczelinę znachodzi  
I ze snu cichego się budzi,

Zostajesz pod wichrów, pod mrozów opieką  
I zimy nie widzisz znów końca...  
Ja—Wiosna ci mówię: Daleko, daleko  
Do kwiatów, do ciepła, do słońca!

*K. Gliński.*

## Wspomnienia z lat młodości.

przez St. Br.

(*Ciąg dalszy.*)

Tak się wówczas kończyła zwykle znaczna większość bitew. Straty były poważne, nieraz 20% walczących, a rezultat żaden. Postaliśmy jeszcze czas jakiś, a wtem buchnęła czerwona łuna pożaru, bo nieprzyjaciół w ten sposób mścił się na Bogu ducha winnych Rusinach za swoje nieudane ataki.

W szeregach odezwały się silne i liczne głosy: na pomoc braciom! ratujmy ich! już się pochylały bagnety i kosy do ataku, ale naczelnik nie pozwolił. Rzeczywiście atak w szczerem polu na znacznie przewyższającego nieprzyjaciela tak liczbą jak uzbrojeniem, mającego przytem cztery armaty. miał mało szans powodzenia. Jednakże, jak się potem okazało, należało było to wykonać.

W razie udania się atak ten byłby nas pokrył niespożytą chwałą i wogóle ruch sprawy w Lubelskiem ogromnie posunął naprzód. W razie zaś nieudania się, choćby połowa nawet nas padła, lepiejby było dla sprawy, niż to, co nas potem spotkało.

Boć na to żołnierz idzie w pole, żeby się bił, a na to ma krew, żeby ją przelewał. „Nie chcesz się bić, siedź w domu, nikt cię nie zmusza, ale jakieś raz poszedł, to stój, ps... kr... jak mur, a nie to kulą w łeb!”

Taką przemowę nieważ u Ćwieka niespożytej pamięci major Murdeljo, a ja się z nim najzupełniej zgadzałem.

Ruszyliśmy tedy o chłodzie i głodzie w las, zostawiając rannych na pieczy obywateli okolicznych, którzy w paru powozach już po nich przyjechali. Pamiętam, że w jednym z nich zauważyłem śliczną złotowłosą panią z długimi warkoczami, z ogromnym koszem z opatrunkami, w towarzystwie jakiegoś staruszka.

Maszerowaliśmy tedy całą noc i przeszliśmy nawet przez ową dopalającą się wieś, którą nieprzyjaciół podpalił. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Wieś była pusta, co się zowie żywego ducha nie spotkaliśmy; gdzieś zapadały się z trzaskiem krokwie i wybuchały słupy iskier w górę, tylko psy wyły przeciągle

naokoło, a kosy i bagnety błyszczały czerwonym, złowrogim światłem.

W połowie ulicy buchnęło silniej światło, zapalił się bowiem dach na jakiejś stodółce, poza którą widać było szereg niezapalonych jeszcze chat i stodółek. Skoczyliśmy tedy żywo ku niej i w mgnieniu oka rozzerwaliśmy na kawałki, gasząc i odciągając na stronę palące się krokwie, co nam przyszło tem łatwiej, że przy kosach były haki, przeznaczone do ściągania kawaleryi z koni. Następnie kosami i bagnetami zasypaliśmy ziemię kilka nie zgaszonych jeszcze ognisk, co wszystko razem nawet kwadrans nie trwało, i ruszyliśmy żywym krokiem dalej.

Och! żeby nam tak wtenczas popadł nieprzyjaciół pod rękę, tobyśmy poszli do ataku chociażby na fortece i na setki armat, ale on zaraz z wieczora ruszył w przeciwnym kierunku.

Wyszliśmy z owej nieszczęsnej wsi i wypisawszy wszystką wodę ze studzienek, której jednak i dla połowy nas nie starczyło, nie mówiąc już o koniach, ruszyliśmy dalej jakąś drogą, na której były gęste kałuże. Wypito je momentalnie.

Pić się tak chciało, że ludzie kładli się na ziemi i żłopali wodę jak psy. Ja po omacku natknąłem się na głęboką koleję pełną wody niezbełtanej jeszcze przez innych, jednakże po napiciu się musiałem język zeszkrobywać z mchu, co na nim osiadł. Na szczęście jednak w manierce jeszcze miałem trochę wódki, którą popłukałem usta, choć niezupełnie, bo mi do rana w zębach trzeszczało.

Galicjanie radzili sobie w ten sposób, że brali w usta swoje szerokie bagnety, a jak się ten kawałek bagnetu, co był w ustach, rozgrzał przesuwali go dalej aż do końca, a potem zaczęli znów od początku, w ten sposób języki im nie pozasychały tak, jak nam. Przez różne rzeczy wypadało mi przechodzić w życiu, ale od pragnienia to już gorszej męki na świecie chyba niema.

Dopiero nad ranem dobraliśmy się do wody; było to jakieś jezioro, konie pierwsze je poczuły, nastawiwszy uszy, rwały się w tym kierunku wciągając nozdrzami powietrze.

Boże! co to była za rozkosz! Przez całe swoje życie ani przedtem ani potem nie podobnego nie doznałem.

Wszliśmy tedy do lasu zaszyliśmy się weń głęboko, okropnie się bojąc wyznaczenia na pikietę, ale jakoś się udało szczęśliwie i nie ruszono nas wcale. Stamtąd ruszyliśmy znowu lasami, kołując; podwieziono nam dostatecznie jedzenia i już wypoczęci, nakarmieni zajęliśmy znowu pozycję.

Jak wyglądała pozycja główna, tego nie wiem, albowiem była z przeciwnej strony lasu. Z tej zaś strony, na którą nas poprowadzono był starodrzew, gęsto krzakami podszyty, przed nami łąki, potem pola, a na skraju horyzontu niebiesciły się jakieś krzaki, czy lasek. Zaledwie rozpaliliśmy ogień i zdołali upiec swoją słoninę, gdy przyleciał ułan z rozkazem do porucznika: mieliśmy leżeć spokojnie i czekać dalszych rozkazów, nie iść zaś na drugą stronę lasu bez rozkazu, chociażbyśmy bitwę słyszeli.

Widocznie oszczędzano nas, chociaż w obu bitwach nie straciliśmy z naszej kompanii ani jednego człowieka, przeciwnie przybyło do nas sporo ochotników, bo wszystkich młodszych po przeegzaminowaniu przyłączano do nas. Nasza kompania ptaszników z górą stu ludzi już liczyła. Wprawdzie byli to wszystko chłopaki, około 15-u, 16-u lat mający, ale myśliwi, prawie wszystko wieśniacy i może odpowiedniejsi do służby partyzanckiej od wielu dorosłych. Przytem byli między nami i starsi żołnierze, wytrawni, praktyczni tak, że nasza kompania wcale się nie źle prezentowała.

Tak pogasiwszy swe ogień, leżymy sobie i gawędzimy, wtem placówki, które stały o kilkadziesiąt kroków od nas na samym skraju lasu, dają znać, że naprzeciw nas na polu majączeją jacyś jeźdźcy. Porucznik wybiegł na skraj, a jeden ze starszych podoficerów, który miał nadzwyczaj bystre oczy, odrazu poznał, że to kozunie. Pomyszkowali wokoło i znikli, nie zbliżając się do nas, jednak porucznik kazał broń opatrzyć i nałożyć pistony.

Właśnie nakładałem na lewą lufę, kiedy usłyszeliśmy głuchy odgłos wystrzału to rzadszy, to gęściejszy, z tamtej strony lasu, gdzie stały główne nasze siły. Porucznik kazał zebrać broń z kozłów i następnie, posunawszy nas naprzód, starannie porozstawiał za grubszymi drzewami. Mnie się dostała gruba lipa, rozdzielająca się od dołu w dwa konary tak, iż mogłem, doskonale zakryty, z pomiędzy nich strzelać.

Staliśmy długo, potem posiadaliśmy w oczekiwaniu, a tymczasem z tamtej strony lasu dochodził nas ciągle przytłumiony grzechot strzałów karabinowych, to wzmagający się, to słabnący huk armat i pękających już w lesie granatów, gdzieś daleko z tyłu za nami.

My tymczasem zasmakowawszy w bitwie po owej tak szczęśliwie odpartej szarży, gniewaliśmy się, że nas traktują jak dzieciaków, nie dopuszczając do bitwy, a przecież daliśmy już dowód, że dzieciakami nie jesteśmy.

„Ot! zobaczycie, bitwa się skończy, a nas tu będą trzymali dla zakrycia tyłu, którego ani

pies nie przyjdzie powąchać — mówiono. Ale starszy podoficer uspakajał:

— „Nie bójcie się—powiada—i nas krew nie minie, bo te kozunie nie nadarmo tu myszkowały, ot zobaczycie, że z tych krzaków wyjdą do nas goście“.

Jakoż tak się stało.

(d. c. n.)

## Obrazy z piśmiennictwa polskiego.

### 15. Mikołaj Sęp Szarzyński.

Bartosz Paprocki, pisząc w Herbach rycerstwa polskiego o herbie Junoszy, dodaje, że posiadaczem jego był Joachim Sęp Szarzyński, który dwóch synów zostawił: z tych zaś Mikołaj „człowiekiem uczonym był wielce i poetą po Janie Kochanowskim przedniejszym w polskim wierszu. Umarł młodo w 1581 roku. Ciało jego w Przemyślu pochowano“.

Do krótkiej tej wzmianki niewiele zdołamy dodać. Wiemy tylko, że Szarzyński z Rusi Czerwonej pochodził, że lata młodzieńcze na nauce w Lipsku spędził. Zmarł młodo, chorobą piersiową strawiony, zostawiając garść utworów wierszowych, którymi jeszcze za życia poety cieszyli się współcześni, przyszłość chlubną młodemu talentowi rokując.

Zła dola zawisła jednak nad tą spuścizną. Zapragnął ją brat zmarłego, Jakób, podstoli lwowski podać do druku, gdyż, jak sam powiada „częstokroć wiele ludzi zacnych, którzy nieboszczyka Mikołaja Sępa Szarzyńskiego brata mego rodzzonego albo zaznali, albo też pisma jego czytali, rozmawiali ze mną z narzekaniem, że o to nie starał, aby prace i pisma jego były do kupy za mojem staraniem zebrane i światłu pokazane“.

Nie zdołał jednak pan podstoli sprostać w zupełności przedsięwziętemu zadaniu, bo nie stało znacznej części rękopismów zmarłego poety. Wiadomem było, że po zgonie Mikołaja zabrał je był niejaki Starzechowski „w dozór i opiekę“, tenże jednak, umierając wkrótce potem, wieści o posiadanych poezjach nie przekazał nikomu.

Udało się wprawdzie imć panu Jakóbowi część utworów brata, dotąd po świecie rozpierchłych, zebrać, czekał jednak „ażebym się ich więcej kędy między ludźmi znaleźć nie mogło“. Ale czas płynął, pan podstoli jął się lękać, aby i ta garść poezyi, którą posiadał, nie zginęła, zdecydował się więc na wydanie

ich w 1601 roku, wyłuszczając w przedmowie powody, dla których zbiorok nie mógł być zupełny.

I oto po upływie trzech wieków, spuścizna Szarzyńskiego powiększyła się niespodzianie. Znalaziono bowiem kilka lat temu w jednym z polskich księgozbiorów sporą wiązanąkę utworów jego. Czy stanowią one wraz ze zbiorom wymienionym poprzednio to. wszystko co Sęp napisał, — odpowiedzieć trudno. Warto jednak zaznajomić się z poezjami temi. Powiedzą nam one, jak myślał, co czuł poeta, o którego życiu tak mało wieści udało się nam zebrać.

Z młodu czuł wesoło i myślał wesoło. nie brak nawet pewnej płochości w utworach jego. Wiemy z nich, że się kocha nieraz, że przedmiot uczuć swych często zmienia.

Dziś Zosi w kolędzie miłość swą ofiarowuje, jutro do Anusi wzdychać pocznie, pojutrze będzie ginął z frasunku, na Kasię patrząc. Zdarza się nawet, że go niestałość w wielki kłopot wprawia, bo oto:

Jednakimi płomieniami trapię serce moje,  
Obyczaje w obydwóch godne pochwalenia,  
Łez wielką są przyczyną mego udręczenia.  
A gdy czasem pospołu wedle siebie siedzą,  
Na którą pilniej patrzeć — oczy me nie wiedzą.  
Anusia zda mi się być piękniejsza nad Kasię,  
Kasia zda się piękniejszą nad Anusię, zasie  
Tamta nad tę, a ta zaś nad tamtę wdzięczniejsza,  
W rozmowie, ja nie wiem, która przyjemniejsza,  
To jedno wiem, że obie bez miary miłuję.  
Jak to może być? nie wiem, ale miłość czuję.

Z czasem jednak poważnieje poezya Sępa. Uczucia swe ofiarowuje on bezpodzielnie Jadwidze Tarłównie, córce bardzo możnego rodu, później wojewodzinie ruskiej. Rozumie dobrze, że jemu, ubogiemu poecie, nie sięgać tak wysoko, i oto pełen smutku i rezygnacyi pisze:

Ozdobo ziemi, szczęśliwy, szczęśliwy,  
Komu cię pan Bóg nazaczył życzliwy.

A dalej dodaje jeszcze:

«Jeśli jest cnota chwały godna wszędzie  
Tedy ma lutnia ciebie sławić będzie  
I wiersz mój śpiewać, bowiem tobie k'woli,  
Serce mię boli.

(d. c. n.)

Marya Dynowska.

## o broni palnej

i przyczynach smutnych z nią wypadków.

(Dokończenie.)

Gdy broń brudna zdarza się często, że ze wspaniale wyglądającego szlucera na sto kroków do szerokiej deski trafić nie można.

Jeżeli warstwa tłuszczu w lufie jest bardzo gruba, to przed strzelaniem należy ją suchymi pakułami przetrzeć, mała jednak ilość w lufie nie wadzi.

Zamki można tylko co parę miesięcy rozbierać i czyścić. Do czyszczenia broni używać tylko tłuszczów mineralnych, gdyż organiczne (zwierzęce) prędko jełczeją czyli kwaśnieją, i zamiast pomagać, szkodzą. Dodajmy, że dla czyszczenia broni gwintowanej niezbędny jest odpowiedni stempel.

Przy używaniu zwykłego czarnego prochu czyszczenie broni można odłożyć na drugi dzień, ale przy bezdymnym prochu zaraz po strzałach broń przetrzeć tłuszczem należy, nawet na placu przed powrotem do domu, gdyż wydzielające się zeń kwaśne gazy szybko broń psują. W tym celu, w ładownicy zamiast jednego ładunku należy mieć takież formy flaszeczkę z tłuszczem mineralnym i jak najczęściej go używać.

Wogóle w tych rzeczach, jak zresztą we wszystkim, ścisłość, akuratność i dokładność wykonania, niezmiernie ważne mają znaczenie. W ten sposób, umiejętne obchodzenie się z bronią służy jako środek wychowawczy i sprzyja do wykorzenienia przekłętogo, a tak u nas niestety upowszechnionego: „jakoś to będzie“.

Bo u nas „jakoś“ budują się domy, „jakoś“ prowadzą się rachunki, „jakoś“ adresują listy, więc „jakoś“ trzymają nas rozmaici za łeb.

*Proch.* Małeńka garsteczka prochu zwykłego, czarnego przy zapaleniu powinna powiedzieć „pupp!“ wtedy proch jest dobry, jeżeli zaś powie „brzuuch!“ to proch albo jest wilgotny, albo w ogóle zły.

Proch czarny jest mieszaniną 75% saletry potażowej, (czyli N.O<sub>3</sub>K t. j. azotanu potasu,) 13% węgla (C.) i 12% siarki (S.) Wszystkie te ciała chemicznie czyste, niezmiernie drobno sproszkowane, starannie wymieszane w fabrykach, lekko zwilżają i dla tem lepszego jeszcze zmieszania przez długi czas w stępach tłuką.

Otrzymane ciasto, za pomocą odpowiednich maszyn ziarnują i następnie rozdzielają na różnej wielkości ziarna, które jeszcze czasem w beczkach szlifują.

Jak widzimy, dobrego prochu gdyby to nawet było wolno, w domu robić nie można.

Podstawą prochów bezdymnych jest tak zw. bawełna strzelnicza czyli pyroksylina, która się otrzymuje od działania dymiącego kwasu azotnego na zwykłą bawełnę.

*Śrót.* W dobrym gatunku, ściśle okrągły, twardy. Śrót robi się, wylewając przez odpowiednie sita roztopiony ołów, z pewną przymieszką arseniku, gdyż sam ołów daje ziarn-

ka podługowate, jeżeli zaś dodać za dużo arseniku, to ziarnka będą płaskie jak soczewica.

Najlepszy śrót, jest angielski, jak zresztą większość innych wyrobów przemysłowych. Gdyż naród ten t. j. rasa anglo-saksońska, do której trzy ćwierci świata należą i która trzema ćwierciami świata rządzi dobrze, choć stosunkowo nie liczny i przeciętnie wcale u innych np. od nas nie zdolniejszy, a przytem nawet nie tak bardzo pracowity, jak powszechnie o tem myślą, (ustępują pod tym względem francuzom i niemcom), otóż naród ten ma jedną zaletę, ale za to najważniejszą, to jest niesłychaną ścisłość i dokładność w wykonywaniu wszystkiego, co robi. I tą dokładnością wszystko i wszystkich zwycięża!

*Pistony.* Do odtylcówek mają być płaskie odpowiednie do gilz, do starej broni konieczne miedziane.

*Przekładki* w nabojach winny szczelnie do lufy pasować. Najlepsze, bo w razie pożaru najbezpieczniejsze, są filcowe, które można maszynką samemu ze starego grubego wołoku wycinać, następnie w roztopionym loju, lub parafinie zanurzyć tak, żeby z nich powietrze wyszło. Potem trzeba je jeszcze rozłożyć, równą deską przygnieść, żeby z nich nadmiar tłuszczu wyjąć i tak pod tą deseczką niech zastygają.

Aby się nie przylepiały do stołu i deseczki najlepiej, żeby te były metalowe, można też rozłożyć arkusz papieru pod spodem i na wierzchu.

Kłaków i paków jako niebezpiecznych pod względem pożaru, oraz zawierających powietrze, które się do rozrzucania śrótu bardzo się przyczynia, stanowczo unikać należy.

*Gilzy* t. j. rurki do nabojoych odtylcowych, winny być w dobrym gatunku. Starannie zważać należy, ażeby grubość tekturki, i długość gilzy była zastosowana do głębokości i długości wrębu, na pomieszczenie jej w tyle lufy zrobionego. Gdyż jeśli gilza będzie zadługa, to trudno wchodzi, a przez wpychanie zamek się psuje, oprócz tego kaliber wewnętrzny gilzy będzie mniejszy od kalibru strzelby, co

na siłę strzału niekorzystnie wpływa. Jeżeli zaś będzie krótsza, to śrót i przekładki, uderzając w koniec wrębu, do rozrzucania są usposobione.

*Robienie ładunków.* Jeżeli gilzy już są raz strzelane, to trzeba je okrągłą szczoteczką przetrzeć i przedmuchać lub lepiej wysypać osad. Przy nakładaniu pistonów pilnie uważać, ażeby do końca dopchane były i broń Boże z powierzchni dna gilzy nie wystawały, gdyż to bywa przyczyną wypadków.

Po wsypaniu prochu, rozumie się do gotowej już z wepchniętym pistonem gilzy, wypycha się przekładka następnie sypie śrót i zakłada druga przekładka. Można zaokrąglać w maszynie wystający koniec gilzy, lub nie. Ja tego, używając tłustych przekładek, które się same trzymają, nie robię.

Co do ilości prochu i śrótu, to ta od gatunku materiału, a zwłaszcza kalibru \*) broni zależy, wogóle jednak w ziemi, zwłaszcza podczas tęgich mrozów, ilość prochu trzeba znacznie powiększyć, prawie na  $\frac{1}{4}$  w stosunku do zwykłej ilości, używanej w lecie.

Co do prochów bezdymnych, to jest ich kilka gatunków; kupując proch trzeba kupić instrukcją, jak i w jakiej ilości go używać. Proch bezdymny jest kilka ra-

zy mocniejszy, od zwykłego i dla tego wyrzucony przezeń pocisk daleko dalej sięga, ale ponieważ przemiana na gaz szybciej się odbywa, a przytem ilość gazu z danej ilości prochu bezdymnego kilkakrotnie większa od zwykłego, więc uderzenie o ściany lufy jest gwałtowniejsze, zatem tylko do specjalnie dla bezdymnego prochu zrobionej broni bez niebezpieczeństwa używać go można.

Dla różnego rodzaju gwintówek, używają się gilzy metalowe, po strzale trzeba je z naboju dokładnie wyczyścić, lecz nabijanie takich gilz powinien skutecznie tylko doświadczony i rozważny myśliwy.



Mały strzelec w zasadzce.

\*) Kaliber oznacza właściwie wielkość średnicy lufy i mierzy się na milimetry. Mierzą także kaliber według wagi kuli np. działo 6-funtowe znaczy, że używa się doń kuli wagi 6 funtów.



PIEŚŃ: «BOGARODZICA», scena z nowej opery polskiej R. Statkowskiego «Marya» przedstawionej w Teatrze Wielkim w Warszawie.

Wiele jest jeszcze różnych wiadomości o broni, które się każdemu człowiekowi przydać mogą, ale te przekraczają ramy naszego pisma; najlepsze co do każdego gatunku broni dają wskazówki obszerne katalogi np. Galanda i pisma specjalne, w Warszawie „Łowiec Polski“.

Piszący dodaje, że będąc ojcem kilku chłopaków, których od dziecka do władania bronią przyzwyczajają, nie tylko nigdy żadnego wypadku ani nawet nieporządku z bronią w domu nie miał, lecz kilkakrotnie był świadkiem jak jego chłopaki wstrzymywali nie tylko swych kolegów, ale nawet dorosłych mających pretensje do myślistwa od takiego obchodzenia się z bronią, którego następstwem prawie nieodzownie mógł być wypadek.

Jednego z nich przedstawiam tutaj w zasadce z ulubionym „Winchesterem“ czyli jak go nazywa Winciem w ręku, z którego już w 10 roku życia bił na trzysta kroków dropie, a na dwieście z talerza kuli nie wypuszczał, co mu jednak bynajmniej nie przeszkodziło być pierwszym uczniem w swej klasie i dawać sobie radę ze wszystkimi ortografiami, gramatykami a nawet z zawikłaną genealogią różnych książąt udzielnych.

Sądzę także, że i dziewczęta, aczkolwiek wrażliwe niekiedy na huk wystrzałów z powodu delikatności słuchu, powinny także oswajać się z bronią i umieć się z nią obchodzić. Trwożliwość, płochliwość i niezaradność nie jest żadnym wdziękiem, tylko słabością, której wszyscy pozbyć się powinni.

Dodam jeszcze na zakończenie, że wszystkie powyższe rady i uwagi należy zachowywać także względem pistoletów i rewolwerów. Zwłaszcza te ostatnie wymagają w obchodzeniu się największej ostrożności i umiejętności.



JULIUSZ VERNÉ.



## Wśród Łotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy).

— Nie, panie sędzio.  
 — Od wewnątrz zaś mógłby otworzyć tylko ten, kto posiadał klucz?  
 — Tak jest.  
 — Z rana więc znalazłeś drzwi zamknięte?  
 — Tak jest. O czwartej rano nieznajomy wyszedł ze swego pokoju, z latarką odprowadziłem go do drzwi. Zapłacił mi rubla... Tak

samo jak dnia poprzedniego kaptur zasłaniał mu twarz całkowicie... Otworzyłem drzwi, a potem zaryglowałem je znowu.

— Czy nie powiedział, dokąd się udaje?

— Nie.

— W nocy nie słyszałeś żadnego hałasu?

— Nie.

— Jak ci się zdaje, czy zbrodnia była już spełnioną, gdy nieznajomy opuszczał oberżę?

— Przypuszczam, że tak.

— Co robiłeś po odejściu nieznajomego?

— Wróciłem do swego pokoju i w ubraniu rzuciłem się na łóżko, chcąc doczekać wschodu słońca, zdaje mi się jednak, że nie usnąłem wcale...

— Mógłbyś więc usłyszeć, gdyby się coś niezwykłego działo w sypialni Pocha?

— Z pewnością. Pokój mój bowiem, aczkolwiek wychodzący na ogród, znajduje się obok pokoju gościnnego. Stanowczo, gdyby się w tym czasie rozgrywała jakaś walka między Pochem a jego mordercą, byłbym dosłyszał hałas...

— Lecz walki nie było wcale — przerwał major Verder. — Śmierć nastąpiła odrazu, od jednego uderzenia!

Według wszelkiego prawdopodobieństwa zatem przestępstwo spełnione zostało przed odejściem nieznajomego. Pewności absolutnej jednak nie było, między czwartą bowiem a piątą rano noc jest jeszcze hardzo ciemna, a wycie wichru i szalejąca śnieżycy stanowiły bardzo sprzyjające warunki dla zbrodniarza.

Kroff na wszystkie pytania odpowiadał ze spokojem najzupełniejszym. Widać było, że nawet na myśl mu nie przychodzi, iż może być posądzony o morderstwo. Zresztą wyłamana okiennica i rozbita szyba dowodziły chyba wymownie, że złoczyńca wdarł się do pokoju Pocha od zewnątrz, zamordował inkasenta, zabrał pieniądze i umknął tą samą drogą.

— Czy pewny jesteś, — pytał dalej sędzia, — że gdyście wyłamali drzwi, Poch już nie żył?

— Najpewniejszy — odparł Kroff z pewnem wzruszeniem w głosie. — Obaj z Broksem robiliśmy wszystko, co było możliwe, aby nieszczęśliwego przywołać do życia... Lecz starania nasze były daremne... I nic dziwnego!... Takie pchnięcie w samo serce!...

— Czy nie znaleźliście przypadkiem tego noża?...

— Nie. Złoczyńca musiał go zabrać z sobą. Jakże mógł zostawiać podobny dowód?!...

— Twierdzisz więc — zaczął znowu urzędnik, że pokój Pocha zamykał się od wewnątrz?...

— Tak jest... na klucz i na zasówkę — odparł Kroff. — Poświadczyć to może i Broks, który pomagał mi przy wyłamywaniu drzwi...

— Broks następnie odjechał do Parnawy?



— Tak jest, panie sędzio... śpieszył bardzo, chcąc jak najprędzej zawiadomić policję, która przysłała tutaj dwu agentów...

— Broks nie wrócił dotąd?...

— Nie. Ma przybyć dzisiaj rano, sądzi bowiem, że zeznania jego potrzebne będą przy śledztwie.

— Dobrze—odparł sędzia Kerstorf—możesz odejść, lecz nie oddalaj się z oberży... Musisz się stawić na każde nasze zawołanie..

— Dobrze, panie sędzio.

Kerstorf zapytał go jeszcze o imię, nazwisko, wiek, zajęcie. Odpowiedzi jego pisarz wciągnął do protokołu.

Wkrótce potem nadjechał Broks. Był to drugi świadek i zeznanie jego miało nieminiejszą wagę od zeznań Kroffa. Konduktora wprowadzono do sali niezwłocznie. Po zwykłych pytaniach, odnoszących się do wieku, nazwiska i t. p. przystąpiono zaraz do badania. Broks opowiedział szczegółowo o spotkaniu z Pochem na stacyi pocztowej w Rydze, o przybyciu nieznanego, o jego tajemniczości, o rozmowie w podróży, o wypadku z karetą i o decyzji Pocha przenocowania w szynku „Pod złamanym hakiem“... Następnie rozwodził się szeroko nad swym powrotem z Parnawy następnego ranka, nad wyłamaniem drzwi, nad przerażeniem, jakiego doznał na widok spełnionej zbrodni... Słowa jego zgadzały się najzupełniej ze słowami Kroffa i potwierdzały ich doniosłość... Ogromny nacisk w swem opowiadaniu kładł na ten szczegół, że w drodze Poch niejednokrotnie odzywał się o wartości swego pugilaresu, pokazując go ostentacyjnie, tak że zwrócić to mogło uwagę nietylko tajemniczego nieznanego, lecz i pocztyljonów... Broks parę razy przestrzegał przyjaciela, lecz daremnie..

— Czy nie domyślasz się, kto to ten niezajomy?

— Nie. Nie znam go wcale. Zresztą nie mogłem mu się przyjrzeć wcale, tak był osłonięty kapturem.

— Przybył na stacyę w chwili odjazdu?

— Parę minut przedtem.

— Czy miał już miejsce zamówione?

— Nie, panie sędzio.

— Czy jechał do Rewla?

— Wziął bilet do Rewla. To jedno mogę powiedzieć.

— Czy wiedział o tem, że nazajutrz rano wrócisz ze stelmachem?

— Tak, panie sędzio.

— Pomimo to jednak opuścił szynk o czwartej rano?

— To też zdziwiłem się niepomiernie, gdy Kroff mi powiedział, że tej tajemniczej figury od paru godzin już niema...

— Jaki stąd wniosek wyprowadziłeś?

— Oczywiście ten, że miał zamiar zatrzymać się w Parnawie, a ponieważ od miasta dzieliło go zaledwie wiorst dziesięć, postanowił przebyć je pieszo...

— W takim razie to bardzo dziwne, że nie pojechał z wami w nocy — zauważył Kerstorf.

— Istotnie, panie sędzio — odparł Broks — i mnie to samo pytanie przychodziło na myśl.. Indagacya była skończona. Broks opuścił salę.

Po jego wyjściu major Verder zwrócił się do doktora Paulina:

— Możebyś pan chciał raz jeszcze zbadać zwłoki ofiary?

— Byłoby to zupełnie zbyteczne, panie majorze. Uwagi swoje wciągnąłem już do protokołu.

— Czy mogę zatem wydać rozporządzenie—odezwał się bankier, ażeby zwłoki biednego Pocha przewiezione zostały do Rygi i pogrzebane.

— Możesz pan — odparł sędzia.

— Zadanie nasze skończone. Możemy się zatem wybierać w drogę?...

— Tak— odparł major. Niestety, niema już więcej środków!...

— Przedtem jednak—przerwał sędzia—pragnąłbym raz jeszcze obejrzeć pokój nieznanego... Może tym razem będziemy szczęśliwsi i znajdziemy jakieś wskazówki, które uszły naszej uwagi...

Po raz drugi więc udali się wszyscy do pokoju, który zajmował tajemniczy podróżny... Kroff poszedł również... Sędzia miał zamiar przeszukać starannie w popiele i w tym celu zbliżył się do pieca. Nagle wzrok jego padł na stojący w kącie żelazny pogrzebacz... Wziął go do ręki i zauważył, że haczyk był nieco skrzywiony, jak gdyby od silnego uderzenia... Czyżby więc to był ów drag, zapomocą którego zbrodniarz wyłamał okiennicę!... Przypuszczenie powyższe miało wszelkie pozory prawdopodobieństwa... Zestawiając je z rysami na ścianie zewnętrznej łatwo można było przyjść do wniosku, że poszlaki przeciwko nieznanemu są dosyć ciężkie. Nic dziwnego zatem, że Kerstorf odrazu sformułował w myśli akt oskarżenia i skoro się tylko znaleźli poza progiem oberży, zwrócił się do towarzyszy podróży ze słowami:

— Zbrodnię mógł popełnić albo jakiś przechodzień, albo szynkarz, albo tajemniczy podróżny...

— Otóż skrzywiony pogrzebacz i rysy na ścianie zewnętrznej usuwają wszelkie wątpliwości. Nieznajomy wiedział, że pugilares Pocha zawiera sumę bardzo znaczną. W nocy otworzył okno od swego pokoju, wyskoczył, przy pomocy pogrzebacza wyłamał okno w sypialni inkasenta, zabił śpiącego, wyjął z pod poduszki pugilares, zabrał pieniądze, poczem tą samą drogą wrócił

do swego pokoju, skąd wyszedł za ledwie o czwartej rano, otuliwszy się poprzednio jaknajstaranniej kapturem. Nikt inny tylko nieznamy jest mordercą...

Przeciwko argumentacji tak logicznej nie protestował nikt. Kto to był jednak ten tajemniczy podróżny i gdzie się znajdował obecnie?..

— Panowie — rozległ się wreszcie donośny głos majora Verderera — rozumowanie sędziego Kerstorfa jest najzupełniej słuszne... prawdopodobnie wszystko się odbyło w ten sposób, jak nam mówił przed chwilą... Wiem jednak z doświadczenia, że sprawy kryminalne kryją w sobie zazwyczaj dużo niespodzianek... i że nigdy się nie jest dosyć ostrożnym... Z tego powodu zamykam pokój nieznanego, klucz zabieram ze sobą, a w oberży zostawiam dwu agentów, którym polecę ścisły nadzór nad Kroffem.

Przezorność ta zyskała uznanie ogólne, poczem major wydał odnośne rozporządzenia...

Zanim podeszły konie, bankier Johansen odprowadził sędziego nieco na stronę i rzekł:

— Mam panu jeszcze coś do zakomunikowania...

— Co mianowicie?

— Otóż zanotowałem numery biletów okradzionych... Poch miał ze sobą sto pięćdziesiąt banknotów...

— A masz pan numery! — przerwał sędzia z widocznym zdziwieniem.

— Tak, to mój zwyczaj, od którego nie odstępuję nigdy... Jak pan uważasz, możeby zawiadomić wszystkie banki prowincjonalne?

— Mojem zdaniem na razie nie czyń pan nic podobnego... — odparł Kerstorf — mógłby się o tem dowiedzieć morderca i zamknąć zagranicę... tam znalazłby zawsze jakąś miejscowość, gdzieby dane bilety mógł zmienić... Zamilczając zaś o numerach, pozostawiamy mu wszelką swobodę działania... Może w ten sposób uspiemy jego czujność... i łatwiej dostaniemy w swe ręce...

W kilka chwil później powóz unosił przybyłych w kierunku Rygi.

„Pod złamanym hakiem“ prócz Kroffa pozostali jeszcze dwaj agenci, którym major nakazał surowo nie spuszczać oka z oberżysty i nie oddalać się z zajazdu pod żadnym pozorem.

(c. d. n.)

## NASZE RYCINY.

„Marya“ na scenie. Większość z naszych czytelników zna bezwątpienia rzewny poemat Malczewskiego „Maryę“, od którego rozpoczyna się właściwie nasza poezja romantyczna.

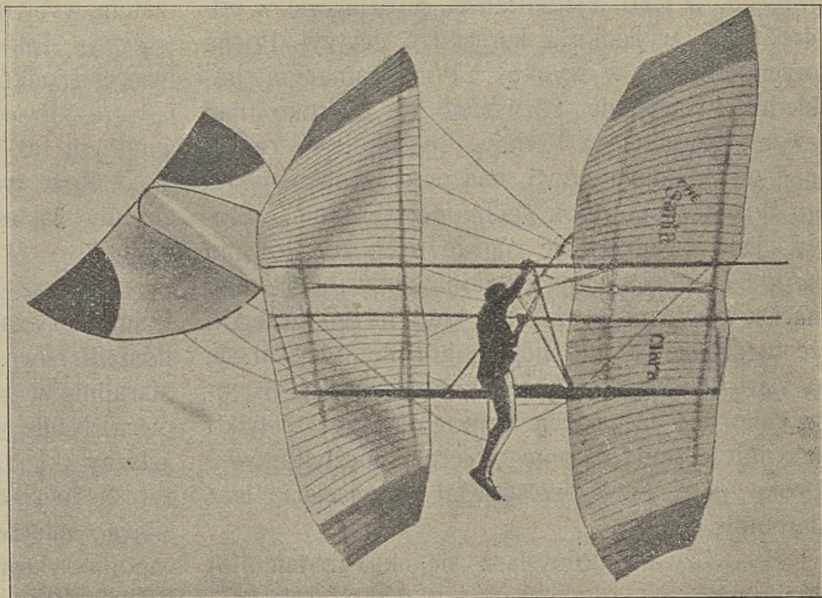
Młody muzyk polski, Roman Statkowski osnuł swoją operę na treści tego poematu, i stworzył wspaniałe dzieło muzyczne, które na scenie Warszawskiej cieszy się wielkim uznaniem.

Rycina nasza przedstawia końcową scenę II aktu, kiedy Waclaw po krótkim widzeniu się z Maryą wyrusza wraz ze starym Miecznikiem przeciw Tatarom.

Rycerze z hussarzami w głębi klękają, aby odśpiewać starodawną pieśń wojenną polską: „Bogurodzica“.

Wyprawa się udaje, ale gdy Waclaw powraca, nie znajduje już ukochanej małżonki przy życiu.

«Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie  
Robak się łągnie i w bujnym kwiecie».



Aeroplan.

**Nowa maszyna latająca.** Śledziliśmy zawsze w „Wieczorach“ rozwój aeronautyki, która ma się stać — jak mówią niektórzy — komunikacją przyszłości. Nieraz więc podawaliśmy sprawozdania z prób kierowania balonami — Santoz-Dumont'a, Zeppelina i innych.

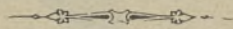
Ale jak wiemy, obok zwolenników balonów, są inni, którzy widzą przyszłość tej gałęzi techniki w rozwoju i udoskonaleniu maszyn latających (aeroplanów), polegających na przyrządzie skrzydlatym, którym porusza człowiek niby ptak skrzydłami.

Taką właśnie maszynę latającą wynalazł w Ameryce p. Montgomery i czynił z nią udane próby, latając przeszło pół godziny w różnych kierunkach i spuszczać się potem we wskazanym z góry miejscu.

Cały ten przyrząd jest bardzo lekki, a po-

ruszanie skrzydeł i steru nie wymaga zbyt wielkich wysiłków.

Ale jeżeli maszyna latająca może sama latać, to wznieść się do góry nie może. Trzeba więc najprzód wznieść się z nią do góry balonem, a następnie w pewnej wysokości rzucić się z nią w powietrzną przestrzeń. Z tego względu i innych jeszcze, sądzę, że balony zawsze będą miały pierwszeństwo przed aeroplanami i ostateczne odniosą zwycięstwo. Obyż tylko jaknajprędzej można było już wynaleźć pewny sposób kierowania nimi!



## Skrzynka do listów.

Skrzynka pełna dziś, Jaskółka musi powściągnąć swe pióro, żeby zbyt obszernie nie odpowiadać bo braknie miejsca w numerze naszego pisma i ciach, ciach! nożyce redakcyjne załatwią się prędko z korespondencją starego ptaka. A stary ptak lamentować będzie, wielka dzieje mu się krzywda, kiedy nie może tak jakby pragnął każdemu ze swoich piskląt prawić a prawić od serca. Przekrzywić łebek i przyjrzeć się, nowym zwłaszcza, jakie też one są, czy szczerze pragną rad Jaskółki przyjaciela, czy piszą ze zwykłego gadulstwa, czy z potrzeby serca, które im podszeptało, że nasze kochane Wieczory to pewny drogowskaz wiodący młodzież na szlaki obywatelskiej służby.

Do roboty zatem, stary ptaku, zwięźle a z rozmachem odpisywać swojej rzeszy? Spiesz Jaskółka, spiesz, chwytaj pierwszy z brzegu list i trafla od razu na dawną, kochaną znajomą, choć ukryła się pod nowym pseudonimem **Łomnicy**. Czemu tak mało piszesz o sobie, co się dzieje z towarzystwem opieki nad zwierzętami, co porabia Geniusz? Donieś o jakie chodzi ci książki, czy lubisz podróże, czy historyczne dzieła, jakie już czytałaś? Mając te wskazówki będę mogła dać ci dobrą radę, tymczasem uścisk serdeczny przesyłam.

**Dzieciaku** doprawdy paskudny jesteś! Czyż wolno tak chorobliwie przywiązywać serce do jednego uczucia. Alboż to nie bałwochwalstwo, jak każde inne? Wszystko co zabija duszę naszą, choćby ze szlachetnych płynęło pobudek, złem jest, dla tego stoi i stać będzie po wiek wieków przykazanie «Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną». Śliczne jest twoje pozdrowienie:

„Wszystkim tym, którzy wśród świata chaosu — giną  
[od gromu,  
Wszystkim samotnym, którym ręka losu — nie dała domu,  
Wszystkim bezdomnym, ginącym z rozpacz — w roz-  
[terce życia,  
Wszystkim tym, których drogę łzami znaczy — Bóg  
[od spowicia,  
Wszystkim tym, którzy miłości oddali — ostatnie  
[tchnienie  
Wszystkim robotnikom ginącym na fali — ślę pozdro-  
[wienie!]

a ja ciebie, Paskudny Dzieciaku do serca tulę, zaklina-  
jąc o spokój i rozsądek.

Przypłynęła do mnie **Srebrna Łódeczka**, a taki maluśki, taki kochany jej liścik, że Jaskółka ją i **Lenę** schowała w swoim gniazdku pod skrzydełką, aby móżdż do woli rozmawiać o was i o Olesiu. Napiszcie znów niedługo.

Z przyjemnością odczytałam twoją powiastkę **Dziewczyno polska**, mało równie udatnych bywa

między nadsyłanymi przez moje korespondentki. Styl dobry, jest żywość w obrazowaniu, tylko pewna chaotyczność w planie opowiadania. Opisujesz poranek dzieci bawiących na wsi i nagle przechodzisz do rozwlekłej opowieści o wieczorku. Niech cię to jednak nie zniechęca do pisania, bo powtarzam, przysłana próba jest obiecująca.

Mylisz się **Czarny mały djabełku** sądząc, że odpowiem morałami na twój list. Jeżeli jest wybrykiem dobrego humoru, to mówić o nim nie warto, jeśli istotnie nie masz Djabełku ani ojca ani matki, którzy by cię upieścić mogli i do kochającego przytulić serca, to Jaskółka bardzo cię żałuje. Wzięłaby cię chętnie pod skrzydła i długo długo prawiała o tem, jak wiele śmiesznej zarozumiałości zawierają twoje słowa, jak bardzo pragnęłaby dowieść ci tego. Ale dowieść taką rzecz można sierocie tylko czułością i serdecznością, a ty daleko jesteś odemnie Djabełku.

Odebrałam bardzo miły list od **Litwinki z nad Dzitwy**, nad wiek to rozwinięta korespondentka. Umie odczuć obowiązek pracy nad zdziaczałą, przez brak opieki, dziatwą wiejską, umie spędzać pilnie czas nad nauką, ceni pracę ręczną i potrafi zająć się gospodarstwem, a przytem, jak sama mówi: «Często wieczorem po dziennym skwarze, pod rozłożystą sładę jabłonią, i zwykle o mej przyszłości marzę, o stare drzewo oparta skronią.» Te marzenia zaś zbiegają się wszystkie około ludu. Litwinka pragnie zostać nauczycielką wiejską, jakże nie błogostawić takim pragnieniom?

Chciałabym odpisać szczegółowo całemu gronu z **Nieżyńska: Badaczowi Nauki, Czarnej Perłce, Perłowej Muszelce, Minetce, Melance**: ale jak odpisać na list, w którym więcej jest plam i przekreśleń niż starannie napisanych wyrazów. A są przecież w tem samem gronie siedemnastoletni nawet korespondenci, od których mam prawo żądać, żeby donosili mi w porządnym liście o sobie i młodszym kolegach, czy rodzeństwie, bo nie wiem nawet, co łączy młodzież Nieżyńską w jedną, dość rozsławoloną gromadkę. Nie należy pisać «dzieci zachorowali» tylko zachorowały. Czyżby istotnie moi korespondenci mieli być tak łakomi, że wszyscy zachorowali przejadłszy się pączkami? Może **Nimfa leśna**, jako opiekunka młodszym, spełni moje życzenie i doniesie czytelnym niepoplamionym listem, to co pragnę wiedzieć o wszystkich wogóle moich korespondentach, to jest kto są, jak pracują, i czem na przyszłość myślą służyć ojczyźnie.

Spieszę odpowiedzieć na twe pytanie **Dziewczyno z nad Grabi**, otóż objaśniono mnie w redakcyi, że dodatek «Ciernistym Szlakiem» dołączony był do numeru 9 pisma, należy więc upomnieć się o niego tam gdzie odbierasz zwykle «Wieczory».

Chcesz rady **Łabędziu**, ale dać mi ją trudno, donieś, kto dotąd kierował twoją nauką, albo przyjdź rozmów się sam, redakcyja da ci mój adres, jeśli go zażadasz.

Słusznie piszesz **Mgławico**, że wszystko co was zajmuje, mnie także obchodzi, a cóż dopiero, gdy idzie o tak po myśli i po sercu wybrane pisklą jak ty, co uczysz analfabetki, ciesząc się, że dusze wyrzwasz ciemnocie, i umiesz odczuć wrażenia widokiem starych Piastowskich gniazd wywołane. Z całego serca życzę twemu bratu powodzenia w pracy; jak to boleśnie, że po naukę polska młodzież do obcych iść musi uczelni, kiedy za wspomnianych przez ciebie czasów, Piastowska akademja w Krakowie karmiła mądrością nietylko własnych, ale obcych ziem synów. Przysłałaś nie 5 tylko 25 kop. donieś na co?

Bardzo miły twój list Doniu z Kamionka, Jaskółka cieszy się niezmiernie, kiedy zaświergoce do niej jedno z dawnych znajomych piskląt. Co porabiają bracia twoi, pamiętam, przed dwoma laty byli w szóstej klasie, a wujenka i jej trzy córeczki czy widzujesz także? Śniegu w Warszawie nie było tej zimy prawie wcale, za to dziś pruszy od rana i straszy młodą trawkę, która już zieleniec zaczęła ogrody. Książki, zarówno i pismo, o które zapytujesz najłatwiej otrzymać przez księgarnię Arcta Nowy-Swiat 53.

Powiedział Jaskółce jej mały pazurek, że ma dwoje młodych przyjaciół Kicię i Mizynka, którzy, chętnie czytują Wieczory i zaświergocą do Jaskółki jeżeli ona pierwsza odezwie się do nich. Pazurek długi pisały do piskląt, ale w skrzynce jeszcze leży liścik, więc dowiedzenia zuchy, kłaniam się wam serdecznie skrzydełkami i o prędką odpowiedź proszę. Co zaś najważniejsza proszę żebyście ucałowały rączki panny Tiny i podziękowały jej za życzliwe słowa przesłane na zachętę staremu ptakowi.

Twój list Halko z nad Teterowa zostawiłam na sam koniec. Dzielnej, zasłużonej korespondentce należy się szczegółowa odpowiedź, należy przytem podziękowanie za pocieszającą wiadomość o Ddzibozkach, o które bardzo się niepokoiłam. Miło dawać rady, sercom takim jak twoje, bo każde dobre słowo trafi do nich łatwo, dlatego poruszam jeszcze kwestyę spacerów miejskich, a raczej mało miasteczkowych stosunków. Bywały one niejednokrotnie ośmieszane przez różnych autorów, ja zaś mam wyjątkowe zainteresowanie do wszystkiego, co dotyczy prowincjonalnych miast, bo przekonałem się własnem doświadczeniem, jakie w nich znaleźć można bogate pole do pracy.

Nigdzie chyba nie łakną tak ludzie wpływu dodatniego jak w naszych brudnych, smutnych, pozbawionych wszelkiego wdzięku miasteczkach. Czyż nie jest naturalne, że człowiek żyjący w złych, niekulturalnych warunkach staje się zgorzkniałym, obojętnym, powierzchownym. Umieć rozgrzać ludzi, porwać ich serca do wspólnej pracy społecznej, dobroczynnej, obywatelskiej zatrzeć różnice stanowisk, które często najusilniej znaczą się różnicą stroju, oto co dałoby życiu małym miasteczkowemu cel, coby podniosło jego dostojeństwo i usunęło na zawsze słusznie krytykowane przez ciebie, Halko, lustrowanie kostiumów sąsiadki, albo bezmyślne oglądanie wystaw sklepowych.

Że to co piszę nie jest marzeniem, mam dowód na jednym dobrze mi znanem miasteczku, sądzę więc, że mnie zrozumiesz i odczujesz, jak jedna z «młodzieży Wieczorów» odczuć potrafi, hasła głoszone przez nasze pismo, tego pewną jest wasza

*Jaskółka.*

Pięknie dotrzymałam słowa, pięknie powściągałam pióro! ach, czuję już w powietrzu nożyce i burę redakcyjną.

### Od Redakcyi.

Do tego № dołączamy dodatek powiastkowy za *marzec* „Ciernistym szlakiem“ (ark. 11—17).

### Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek.

OGŁOSZENIA: po 15 kop. wiersz 1-oszp. petitu.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

Redaktorką Ludwika Hauke. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Balińska.

## ŻARCIKI.

### Na pensyi przy egzaminie.

I. *Nauczyciel.* — Jak nazywa się nauka, która zajmuje się słońcem, księżycem i gwiazdami?

*Uczennica.* (Pilna czytelniczka utworów poetycznych). — Poezya liryczna, panie profesorze!

II. *Nauczyciel.* — Proszę mi wymienić sześć zwierząt, które zamieszkują w strefie podbiegunowej.

*Uczennica.* ...Foka, druga foka i cztery białe niedźwiedzie.

## OFIARY.

Jurek Grzymałowski, Staś Grzymałowski, Staś Orłowski i Janek Chrzanowski, nadesłali rub. 25, zebrane z urzędzonej przez nich loteryjki *wśród młodzieży polskiej w Odessie*, dla przesłania Komitetowi Obywatelskiemu pomocy, zapoczątkowanemu przez Henryka Sienkiewicza celem rozdania głodnym dzieciom Warszawy.

Ofiarę tę redakcyja nasza składa Komitetowi przesyłając ofiarodawcom „Bóg zapłać“.

W. M. ubranie dla ucznia.

### TREŚĆ:

Katedra kolońska (z ryc.). — Szept wiosny (wiersz przez K. Glińskiego). — Wspomnienia z lat młodzieńczych, przez St. Br. — Obrazy z piśmiennictwa polskiego przez M. Dynowską. — O broni palnej. — Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a. — Nasze ryciny. — Skrzynka do listów. — Żarciki. — **Dodatek:** Feniks i dywan czarodziejski (z ryc.). — Powrót taty, albo Jaś rycerzyk, przez Józefa Jankowskiego. — Z teki powinszowań. — Promień słońca przez M. Okolską. — Zadania i łamigłówki.

## WIÓRKI

Łyczko (rafę), patyki (petig), przeplatanki i t. p. przybory do słoju i robótek freblowskich, gry towarzyskie, zajęcia pożyteczne

polecają:

**Al. Józef Wiśniakowski i Sp.**

pod firmą

„Nauka i Zabawa“

w składzie pod nowym adresem:

**Warszawa, Jerozolimska Nr. 25 m. 20.**

Tamże wyprzedaż wycofywanych ze składu zabawek dziecięcych (cacek) po cenach niższych.

WIECZORY

RODZINNE.



## FENIKS

### i Dywan czarodziejski.

(Ciąg dalszy.)

— Ach! to szczęście! — zawołał Robert. — To dopiero zdarzenie! Nie możecie sobie wyobrazić, jak mi tam było... Mówię wam, wracajmy teraz prosto do domu... Możemy potem znowu gdzieś pojechać...

— Zgoda! — zawołałi wszyscy chórem, bo wszystkim dała się we znaki ta przygoda.

Weszli na dywan i powiedzieli:

— *Chcemy wrócić do domu...*

Ale co to?... Dywan ani drgnął. Feniks tymczasem, korzystając ze sposobności, usnął — Antea obudziła go ostrożnie.

— Widzisz? — zapytała.

— Widzę! — odpowiedział Feniks.

— Chcieliśmy wrócić do domu, a nie wracamy — skarżyła się Kizia.

— Nie wracamy — potwierdził Feniks, spoglądając w górę, na wysokie, ciemne ściany wieży. Widzę, że nie wracamy.

— Ale my chcemy być już w domu! — dodał Cyryl.

— Zupełnie temu wierzę — odrzekł ptak bardzo grzecznie.

— A dywan ani się ruszył! — dodał Robert.

— Nie ruszył się — powtórzył Feniks. — Widzę to...

— A myśmy myśleli, że to czarodziejski dywan?

— Bo to jest „Czarodziejski Dywan“.

— Więc dlaczego?! — zawołały chórem dzieci.

— Mówiłem wam — zaczął Feniks. Tylko, że wy wolicie słuchać tego, co sami mówicie. I dlatego...

— Ale co nam mówiłeś? — zawołały dzieci razem.

— Mówiłem, że dywan spełnia tylko trzy życzenia na dzień — a wy dziś żądaliście już trzech rzeczy!

Zapanowała złowróżbna cisza.

— Więc co robić, żeby dostać się do domu? — zapytał Cyryl.

— Nie mam pojęcia! — odparł Feniks. — Może mam wyfrunąć z wieży i postarać się o coś do jedzenia?

— Ale jakże zabierzesz pieniądze?

— To zbyt ciężkie. Ptaki biorą wszystko, czego im potrzeba. Nie uważa się tego za kradzież — chyba tylko u srok.

— Dobrze! więc niech Feniks przyniesie nam jedzenie — powiedział Robert.

— Chciałeś pewnie powiedzieć: niech będzie tak dobry i przyniesie — podpowiedziała szeptem Robertowi Antea.

— Naturalnie: prosimy, żeby był tak dobry, chciałem powiedzieć, a my przez ten czas naradzimy się co robić...

Feniks wyfrunął w górę między szaremi ścianami wieży i zniknął, a kiedy go już widać nie było, Kizia powiedziała cicho:

— Może on już wcale nie wróci!



Nagle ukazał się ptak z koszykiem...

Nie było to miłe przypuszczenie, Antea odrzekła śpiesznie:

— Ależ wróci niezawodnie! Pewna jestem, że to uczciwy ptak...

Jednakże słowa Kizi wznieciły niepokój u dzieci. Bo w wieży nie było żadnych drzwi, a okno było zbyt wysoko, żeby się do niego mógł dostać najzręczniejszy gimnastyk. W dodatku było strasznie zimno, i Antea drżała z chłodu.

— Tak! to zupełnie tak, jakbyśmy się dzieli na dnie studni, — zauważył Cyryl.

Dzieci czekały — milczące i głodne, wyciągały tylko szyje w górę, wypatrując, czy Feniks nie wraca.

Wrócił nareszcie. Wydawał się ogromny, gdy się tak spuszczał w dół między szaremi ścianami wieży, i dopiero, kiedy już był blisko, zobaczyły dzieci, że jego postać powiększa koszyk pełen gotowanych kasztanów, który trzymał w szponach jednej łapki. W drugiej dźwigał bochenek chleba, w dziobie ogromną gruszkę. Gruszka była bardzo soczysta i mogła zastąpić napój. Po skończonem jedzeniu wszystkim zrobiło się raźniej, i naradzali się, w jaki sposób powrócić do domu, nie przypominając już Kizi, z czyjej winy wynikło to wszystko. Ale nikt nie mógł wymyślić sposobu wydobywania się z trudności, ani nawet z wieży, bo chociaż szpony Feniksa miały dość siły do przyniesienia żywności, nie można było marzyć, aby zdołał dźwignąć w górę czworo dzieci.

— Musimy tu siedzieć—mówił Robert— i krzyżeć, aż ludzie usłyszą, i przyniosą liny i drabiny i wydobędą nas tak, jak wydobywają górników z kopalni, a potem zrobią składkę na naszą podróż do domu, jak na rozbitków.

— Tak — ale nie zdążymy powrócić do domu przedpowrotem mateczki, a potem ojciec odbierze nam dywan, bo powie, że to jest coś niebezpiecznego — zrobił uwagę Cyryl.

— Ach! chciałabym, żebyśmy tu nie byli nigdy przyjechali! — westchnęła Kizia.

Lecz wszyscy zawołali:

— Dałabyś spokój!

Wszyscy z wyjątkiem Antei, która delikatnie trąciła Feniksa i powiedziała:

— Panie! pomyśl co robić... Jestem pewna, że potrafisz nam dopomóc... Ach! chciałabym bardzo, żebyś ty chciał:

— Dopomogę wam o ile to będzie w mojej mocy—odrzekł Feniks bez namysłu.—Czego wam potrzeba?

(d. c. n.)



Józef Jankowski.

## Powrót taty, albo Jaś rycerzyk.

Obrazek dramatyczny w dwóch odstępach podług ballady Mickiewiczowskiej.

(Ciąg dalszy.)

*Halina.*

Nie, doprawdy! tak precudną  
Rzecz — to nawet wyśnić trudno!  
Patrzcie, jak las błyszczący z dala!

*Maciuś.*

Bozia wszystko to zapala!

*Jaś.*

A tyś myślał, że to może  
Człowiek taką robi zorzę!

*Maciuś (urazony).*

Ja nie myślał! Ja nie głowa!

*Halina.*

O, o, już się tarcza chowa,  
Już jej tylko jest połowa!

*Małgosia.*

A jak pachnie dookoła!  
To pachnące jakieś zioła,  
Trzeba narwać ich dla mamy.

*Halina.*

Ach, ach! powiew jak balsamy!

*Maciuś.*

Co to, Janek, jest: balsamy?

*Jaś.*

To są takie maści wschodnie,  
Które pachną bardzo godnie.

*Halina* (składając kwiaty przy obrazie na figurę).

No, a teraz, gdy do końca  
Już dobiega kula słońca,  
Uklękniemy pod figurą  
I pomódlmy się gorąco:  
Niechaj myśli płyną górą  
I o Boga tron potracą.

*Małgosia.*

Ty, Maciusiu, tu—koło mnie.

*Halina.*

Tylko cicho, tylko skromnie!

*Małgosia.*

Cichuteńko, jak najciszej,  
To sam Pan Bóg nas usłyszy!

*Maciuś* (patrząc na obraz Matki Boskiej).

Bozia.

*Jaś.*

Nie mów, Macius! klękniij!  
Trzeba skupić się najpiękniej.  
(Dzieci klękają).

*Modlitwa dzieci.*

(Jaś mówi głośno, reszta dzieci wtórzy  
jednogłośnie).

Panie Boże!

Ty, co takie śliczne zorze  
Zapaliłeś! Ty, co w kwiaty  
Strojne dajesz emi szaty!  
Miłosierny, niezgłębiony,  
Panie Boże, Wład o świata.  
Wejrzyj na nas z nieba strony.  
Daj, niech wróci zaraz tata!

My do Twego za to tronu  
Kwiaty niesiem z ziemi plonu,  
U Twych niebios złotej bramy  
Całe serca Ci składamy,  
Całą duszą Cię kochamy,  
Dziś i zawsze i bez zmiany,  
Panie Boże nasz kochany!

*Halina.*

Teraz jeszcze zmówmy szczerze  
*Ojcie Nasz, Zdrowaś i Wierze,*  
Pocichutku, całą siłą,  
Żeby Bogu było miło.  
(Dzieci pochylają się i modlą wśród ciszy).

*Jaś.*

Skocz, Maciusiu! Czy tam drogą  
Nie zobaczysz zdala kogo...  
(Maciuś wybiega na drogę, dzieci po-  
zostają).

*Maciuś (za sceną).*

Nie, nikogo! nie, nikogo!

*Małgosia.*

Ja zobaczę, ja poskoczę,  
Czy na drodze nie turkocze.  
(Wybiega i wraca wołając)  
Cości jedzie, cości jedzie:  
Taki wielki kurz na przedzie...  
(Maciuś zrywa się pierwszy).

*Halina.*

Stój, Maciusiu! Bozi z nieba  
Pierwej się pokłonić trzeba.  
(Dzieci się żegnają, potem powstają i pa-  
trzą na drogę).

*Razem.*

Cości jedzie, cości jedzie!  
Taki wielki kurz na przedzie...

*Jaś.*

Jakaś duża kawalkata.

*Małgosia.*

Patrzcie, patrzcie! toż to tata!  
(Wjeżdżają wozy ładowne, kierowane przez  
sługi kupca).

*Kupiec (zeskakując z wozu).*

Dzieci moje, dzieci moje!  
Zdrowe, czerstwe!...

Jak się macie, jak się macie!  
Mama zdrowa?

*Dzieci (garnąc się do niego).*

Zdrowa, tato!  
Myśleliśmy wciąż o tacie!

(d. c. n.)



## Z teki powinszowań.

Niechże ci, matko, (ojcze) wynagrodzi Bóg  
Za ten miłości zdroj,  
Za to pragnienie usunąć z mych dróg  
Niedolę i ciężki znój.

Niechże ci, matko, wstaje każdy dzień  
W różanym blasku zórz,  
Niech się wypełni każde z twoich śnień,  
Rozkwitnie każda z róż.

Niech w oczach błyszczą tylko szczęścia łzy  
Spokój ocienia skroń,  
Niechaj na wszystkie twego życia dni  
Poda ci radość dłoń.

Z. Z.



## Promień słońca.

Powoli, nieśmiało, skradał się promień  
słońca po szarym murze kamienicy nim zajrzał  
w nizkie okienko suteryny. Chwilę jakby wa-  
chająco przesuwiał się po ścianie, po łóżku, aż  
wreszcie musnął twarz śpiącego dziecka, jasne,  
wijące się nad czołem włosy i zajrzał prosto w  
zamknięte oczy.

Dziecinna twarzyczka drgnęła pod tem  
dotknięciem, czemś zaniepokojona i poruszona.

A promyk muskał znowu włoski, zaglądał  
zalotnie w oczy i cicho szeptał: — Zbudź się  
dziecino, zbudź! To ja przychodzę — wiosna  
i pierwszy promyk słońca przysyłam ci na po-  
witanie.

Chociaż dziecko nie słyszało cichego wo-  
łania wiosny, drobną buzię rozjaśnił słodki  
uśmiech, rączyny przez sen wyciągnęły się do  
promienia.

Co to jest? Co się dzieje? Tak słodko, cie-  
plo i jasno... W powietrzu zalanem światłem

słońca unosi się zapach zieleni i kwiatów. Z traw wychyla się różnobarwne kwiecie, brzęczą muszki, fruują motyle. Czuć woń fijołków, mocno odurzającą, słyhać śpiew słowika. A białe narcyzy pławią się w promieniach słonecznych, skrzętne pszczołki fruują z kwiatka na kwiatek.

Przez jasną, szmaragdową, zalaną słońcem łąkę biegnie dziecina, zachwycona dotyka kwiatów, pieści zieloną trawkę, śledzi lot hożych motyli. I patrzy zdziwiona, że kwiatki drżą i chyląc główki, szemrzą coś wesoło, że ptaszki, motyle, pszczołki i inne owady zawodzą jakąś pieśń radosną.

— Co to jest? — myśli dziecko. — Czemu świat dziś taki piękny, jasny, wesoły? Czemu wszyscy tak się cieszą? — Powiedz mi słowiczku, powiedz pszczołko, powiedzcie kwiatki — pyta naokoło, wyciągając w zachwycie ręce.

— Bo wiosna, już wiosna, szemrzą kwiatki — wiosna — brzęczą pszczołki — wiosna — śpiewa na całe gardło słowik.

A dziecko uszczęśliwiono tuli do ust kwiaty i głos swój łączy do hymnu ogólnego zachwytu. Bo wiosna to radość, to ciepło, to słońce, to koniec smutnych szarych dni.

W tem promyk słońca zbyt natarczywie zajrzał w zamknięte oczy, zbyt natarczywie wołał i prosił, gdyż mały Franus zerwał się z posłania.

Zamiast szmaragdowej zalanej powodzią światła łąki widzi tylko szare ściany izdebki i skromne ubogie sprzęty mieszkania wyrobnika. Gdzie się podziały śliczne kwiatki, gdzie rój motyli i skrzydlatych śpiewaków?

— To był tylko sen — myśli więc ze smutkiem.

Lecz jednocześnie rozgląda się naokoło i widzi, że posepna zwykle izdebka jakiś weselszy ma dziś wygląd. I nagle w rozwarte teraz szeroko oczy dziecka wpada cały snop promieni słonecznych.

— Słońce, słońce — woła radośnie i klaszcząc w dłonie przybiega do okna, widzi mały skrawek błękitnego nieba i nie posiada się z radości.

Bo słońko całą zimę tu nie zaglądało, więc pierwszy jego promień to zadatek nadchodzącej wiosny. I mały Franus z noskiem przyklepionym do szyby patrzy na małe brudne podwórko dzisiaj zalane promieniem słońca. Jakże odmienny ma dziś wygląd! Ze wszystkich kątów suteryn i poddaszy wyległa dziaćwa chciwa światła i ciepła, grzeją zziębnięte rączyny w promieniach słonecznych i myślą o wiosnie.

A przed oczami Franusia przesuwa się znowu, tak jak we śnie, zalana słońcem i ukwie-

cona łąka, zdaje mu się, że słyszy szum zbóż, śpiew polnych ptaszków, brzęczenie muszek i pszczoł.

— Da Bóg! pojedę w tym roku na Kolonie letnie i zobaczę te cuda znowu — myśli w duszy. — Byle ta wiosna naprawdę już prędzej przysła.

W tem jakieś ciche brzęczenie dolatuje jego uszu.

— Już jestem, jestem, zdaje się wołać mała muszka, która wyfrunęła gdzieś z ukrycia i grzeje się teraz w słońcu.

— Jestem — szepce promyk słoneczny zaglądając znowu w oczy Franusowi — potem już, ja, pierwszy wysłaniec wiosny!

— Wiosna, wiosna nadchodzi — wołają uradowane dziecinne głosy za oknem.

Więc Franus chwyta czapeczkę i biegnie także na podwórze witać z innymi nadchodzącą wiosną.

*Br. Okolska.*

## Zadania i łamigłówki.

### Szarada.

*Pierwsza i druga w nutach się chowa,  
Czwarta próżności połowa,  
Trzecia to prezent albo ofiara.  
Niech całą zgadnąć każdy się stara.*

### Łamigłówka sylabowa.

ul. Wróbel z nad Wisły.

Z następujących sylab ułożyć 7 wyrazów, którychby początkowe i końcowe litery złożyły imiona dwóch królów polskich.

Al-a-bral-do-dyt-dya-fry-gi-ir-ja-kob-ka-lo-lan-mar-naryb-wie-

Znaczenie wyrazów: 1) patryarcha Izraelski; 2) imię żony Kazimierza Wiel.; 3) hist. kronikarz królów polsk. ur. w Saksonii 976 — 1018; 4) zwierzę ssące morskie; 5) wielka wyspa na oc. Atlantycznym; 6) twierdza w Hiszpanii; 7) część świata.

### Łamigłówka wyrazowa.

ułożyła Zosia P-a.

Droga — i — mądrości — szkoda — do — przestroga  
Przestawiwszy odpowiednio te sześć wyrazów ułożyć przysłowie.

### Rozwiązania do № 10.

**Rebusu:** W pomyślności pamiętać należy o niepowodzeniu.

**Szarady:** Ma — rzec.

**Zadania konikowego:** Nie mów «hop», aż przeskoczysz!